

# Marian Płachecki

---

## O kolonizacji i miłości podróży

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (20), 155-162

---

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szulza (*Ptaki*) jest wynikiem artystycznej działalności Jakuba. Film natomiast, dążący do przedstawienia jednej tylko sprawy, a mianowicie dojrzwania świadomości bohatera, „przechodzi” obok innych i zabiera z sobą jedynie ich nadbudowę, zostawiając podstawę. Przykładem drugim niech będzie manekinowość i sztuczność prostytutki z ulicy Krokodyli, która bez odpowiednich fragmentów *Traktatu o manekinach* jest trochę zawieszona w próżni. Natomiast udanym chwytem było „zawieszenie” treści w najbardziej ulubionej przez Schulza porze roku — w jesieni. Również wybór tytułu wydaje się trafny.

Gdyby przyszło mi określić, jakie zdanie Schulza mogłoby posłużyć jako motto do filmu Hasa, sięgnąłbym do opowiadania „o porwanej i zamienionej księżniczce”, w którym Schulz tak oto wyklada swoje credo artystyczne:

„(...) tekst wiosny znaczonej jest cały w domyślnikach, w niedomówieniach, w elipsach, wykropkowany bez liter w pustym błękitcie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia”<sup>11</sup>.

Witold Kiedacz

## O kolonizacji i miłości podróży

Janusz Sławiński: *Dzieło — język — tradycja*. Wrocław 1974 Ossolineum, ss. 266.

„I oto tematy tej książki: żywi się ona problemami teoretycznymi poetyki historycznej, socjologii literatury (także szerzej: badań nad komunikacją literacką) i poetyki lingwistycznej. Utrwała — co trzeba najmocniej podkreślić — zupełnie wstępną fazę myślenia o tych problemach. Każda właściwie z kwestii w niej poruszonych zajmuje mnie nadal. Niektóre z nich zamierzam jeszcze przedstawić w sposób bardziej rozwinięty i systematyczny”<sup>1</sup>.

Wyznanie otwierające zbiór artykułów Janusza Sławińskiego *Dzieło — język — tradycja* budzi w czytelniku sprzeczne uczucia. Związana z czytelnikiem takim, jak niżej podpisany: rocznik jeden z bliskich powojennych, wykształcony w polonistycznym fachu głównie na tekstach Sławińskiego, a jeśli i na innych, to głównie z kręgu autorów, dla którego nazwisko to jest dziś hasłem wywoławczym, nazwą zbiorową. Sławiński-idol młodzi teoretycznej, Sławiński-klasyk literaturoznawczej współczesności polskiej; cóż odleglejszego od teoretyzowania tymczasowego, na próbę, od dziś do jutrzejszych

<sup>11</sup> *Ibidem*, s. 192.

<sup>1</sup> J. Sławiński: *Dzieło — język — tradycja...*, s. 5.

świetniejszych pomysłów? W rzeczy samej, trudno o większą rozbieżność społecznego funkcjonowania tekstów i ich autorskiej oceny. Dla młodego środowiska polonistycznego, młodego a więc najniecierpliwiej wychylonego w przyszłość dyscypliny, jakby już w niej — na kredyt, lecz tym intensywniej — zamieszkałego, prace autora tej książki są trwałym układem odniesienia; są skalą, którą mierzy się czas intelektualnych wysiłków. Są układem pełnym, bynajmniej nie próbnym i bynajmniej nie wstępnym.

W tym dziwnym świecie humanistyki recepcjoniści (obywatele dokonujący recepcji) nie myślą się nigdy. Wybierają z tablic różne klucze, ale nie są to nigdy klucze do nie istniejących pokojów. Społeczne funkcjonowanie artykułów Sławińskiego jest w nich projektowane („wymuszane”, powiedziałby sam autor) ze starannością równą trosce o wiecznie świeży kwiat nowości. Praktykę teoretyczną twórcy *Dzieła — języka — tradycji* określa dwojaka strategia: dążenie do czysto konceptualnego porządkowania życia dyscypliny, do budowania jej „tradycji kluczowej” oraz, by użyć autoironicznego określenia uczonego z artykułu *Gorzkie żale*, „strategia nowości za wszelką cenę”. Napięta równowaga (nic bardziej obcego Sławińskiemu niż koncepcja całości jako zgodnej harmonii) dwu tych strategii, klasycyzującego cyzelatorstwa i awangardowej gorączki, decyduje o sposobach wypełniania przez rozprawy zebrane w książce funkcji społecznej: zorientowanej do wewnątrz środowiska naukowego, nie na przypadkowych telewizjach. Realizowanej w postępowaniu naukowym, nie w deklaracjach. W służbie cennej, żywej homeostazy, jakże potrzebnej i jakże niezwykłej, naszej — szeroko pojętej — krytyce literatury; oto w czyim interesie teksty te mówią.

Dwoistość strategii badawczej narzuca czytelnikowi dwojaką perspektywę odbiorczą. Można więc zasadnie rekonstruować doktrynę Sławińskiego jako historię pościgu za nowością, zestawiać poszczególne teksty z ich macierzystą lokalizacją czasową, a także z tym, co dzieje się dziś w teoretycznym świecie. W tym ostatnim ujęciu okazałoby się zapewne, że nie wszystkie artykuły zebrane w omawianym tomie są w równej mierze „współczesne”. Trzeba by, sądzimy, ułożyć szereg, którego pozycje skrajne zajęłyby artykuły *Wokół teorii języka poetyckiego* (biegun „archaizmu”) oraz *Socjologia literatury i poetyka historyczna* (biegun „neologizmu”). Kryterium dyslokacji byłby stopień nasycenia Jakobsonowską teorią sześciu funkcji: im dawka większa, tym dalej w — niedawną — przeszłość dyscypliny. Zaznaczmy jeszcze, że seria ułożona w ten sposób pokrywałaby się na ogół z chronologicznym następstwem artykułów, a określmy tym samym miarę autentyczności nowatorstwa Sławińskiego.

Lecz ciekawiej jest czytać artykuły te inaczej. Zebrane z dziesięciu lat (1961—1971) pod jedną okładką wyraźniej ujawniają intencję, którą dotąd, przy lekturze tomów zbiorowych, trzeba było oswo-

dząć spod przymusów sąsiedztwa cudzych głosów. Kolejne rozprawy przybywają w tej książce jako komponenty spójnej i w tym sensie „równoczesnej”, całościowej teorii. Teorii... czego? Właśnie: teorii nie dającej się określić nazwą o zakresie węższym niż literaturoznawstwo. Lektura książki nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że ostatecznym celem autora jest szczelne zabudowanie całego literaturoznawczego uniwersum. Daje więc Sławiński teorię „semantyki” tekstu — narracyjnego i poetyckiego (artykuł *O kategorii podmiotu lirycznego*), teorię powiązań na osi dzieła literackie — literatura, w aspekcie synchronicznym i diachronicznym, wreszcie teorię powiązań między literaturą („tradycją literacką”) — „kulturą literacką” — społeczeństwem; w obrębie członu środkowego lokują się refleksje teoretyczne nad krytyką literacką i nauką o literaturze (w dwu perspektywach: procederów interpretacyjnych i biografii naukowych).

Przyda nam się potem konstatacja, że uniwersum to zabudowuje Sławiński, jak wynika nawet z powyższego wyliczenia, nie pszczelim sposobem, komórka obok komórki, lecz w trybie subsumcji analogicznej do sumowania się jednostek z kolejnych poziomów wypowiedzi językowej. Analogicznie, lecz nie bez reszty. Spośród sektorów, jakie wycina autor w rzeczywistości humanistycznej, najwyższą wagę przypisuje językowi. Stąd w hierarchicznym, „poziomicowym” uporządkowaniu literackiego uniwersum nakładają się dwie skale. Z jednej strony, dzieło w pewien sposób zawiera się w tradycji, ta zaś w języku, jako zbiór norm jego wyspecjalizowanych literacko użyć. Równocześnie tradycja zawiera się w kulturze literackiej, która decyduje o sposobach jej funkcjonowania, a kultura literacka w systemie społecznym. Tym samym stosunek społeczeństwa do dzieła poszczególne, do literatury, do kultury literackiej okazuje się zawsze stosunkiem wobec języka.

Wróćmy do kwestii szczelności zabudowy uniwersum. Nasuwa ona pewne podejrzenie... Tym bardziej, że wywody autora „dotyczą realności tak dalece wymodelowanych, iż niezmiernie trudno byłoby wskazać ich dotykalne korelaty przedmiotowe”<sup>2</sup>. Lecz w artykule *Wokół teorii języka poetyckiego* pisał przecież:

„Odwrot od spekulacji metafizycznej cechujący dzisiejszą naukę, tendencja do formułowania problemów rozstrzygalnych, zamięłowanie do języka opisowego — wszystkie te nastawienia (...) odrywają teorię poezji od filozofii (...)”<sup>3</sup>.

Otóż wartość prac Sławińskiego polega nie na tym, że odwracają się od filozofii, bo tego po prostu nie robią; polega ona na tym, że nie robią tego w sposób wysocy systematyczny. Biografia naukowa autora *Koncepcji języka poetyckiego Awangardy Krakowskiej* preko-

<sup>2</sup> *Ibidem*.

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 91.

nująco poświadczą utopijność dążenia do ścisłej, niejako substancjalnej, a nie funkcjonalnej, merytorycznej, a nie instytucjonalnej specjalizacji polonistycznej. Filozofia wyrzucona oknem wraca wodociągami — jako nieunikniony składnik wszystkich dań specjalnych.

Prawda, odrzuca Sławiński pojęcie „istoty”. Ale czyż filozofie nie mogą obyć się i bez niej? *Dzieło — język — tradycja* odpowiadają twierdząco. Stanowisko autora tej książki można by określić jako „monizm operacyjny”. Miast wskazywać „istotę”, ostateczną realność rzeczy, dąży się do zbudowania języka, który by spełniał dwa warunki: obejmowałby całość uniwersum, byłby więc językiem detonacyjnie samowystarczalnym, a nadto miałby szanse na akceptację ze strony „społeczności uczonych”. Drugi z tych celów osiąga Sławiński modyfikując tradycyjne *exordium* rozprawy humanistycznej. W artykułach swych nie przedstawia z zasady szerokiego wachlarza rozwiązań danej kwestii poświadczonych w tradycji. Wachlarz ten ściąga do dwu skrzydeł: tradycji negatywnej i pozytywnej własnych rozstrzygnięć autora. Tym sposobem zarazem oznacza stosunek własnego języka (w budowie) do języków tradycji, jak i narzuca odbiorcy ostentacyjnie grubo cięty paradygmat tej ostatniej, własną jej interpretację. Sugeruje, że paradygmat ów ma jedynie uwyraźnić indywidualne poczynania autora, postawić je w pełnym świetle. Chodzi jednak raczej o to, by czytelnik skupiając uwagę na wykładzie pozytywnym przyjął za swój — mimowoli jakby — paradygmat. Ten bowiem dopiero porządkuje wszystkie potencjalne konceptualizacje w ramach dyscypliny, w tym i przyszłe konceptualizacje czytających. Rozwiązanie pozytywne jest tylko jednym z głosów w dyskusji, mniej w końcu ważnym niż samo uzgodnienie jej zasad. Wypełniając powyższe cele konstruowany przez Sławińskiego język literaturoznawczy staje się niejako filozofią literatury. Filozofią, która w przyszłości ma zaowocować pękiem literaturoznawczych nauk szczegółowych.

Teraz bliżej o denotacyjnej samowystarczalności owego języka. Ma on być językiem właśnie, a nie przytoczeniem natury rzeczy w jej nienaruszonej postaci. Lecz każdy język ma niepohamowaną skłonność do zdań egzystencjalnych; ten również. Wymagania stawiane językowi implikują określone ujęcie rzeczywistości. Wspomnieliśmy już o właściwym Sławińskiemu subsumcyjnym porządkowaniu uniwersum literatury. Porządkowanie takie wynika z postawy monistycznej: przechodząc w praktyce badawczej do czegoś innego, nie porzuca się tego, o czym traktowano dotąd, bo *tamto* zawiera się w *tym*. Pracuje się więc na humanistycznej niwie całkiem inaczej niż przy postawie pszczelarskiej, szufladkującej (polemizuje z nią Sławiński we wprowadzeniu do książki).

Jeśli język badawczy ma objąć całe uniwersum wchodzące w relacje z dziełem literackim, musi zdawać sprawę z horyzontu kogoś wynie-

sionego wysoko ponad obserwowany teren. Narracja naukowa musi być prowadzona w perspektywie olimpijskiej, zawieszona wysoko, tam skąd widać całe przekroje synchroniczne literatury oraz kultury literackiej i ich rozległe ciągi ewolucyjne. Zauważmy, że nie jest to postawa jedynie możliwa dla ambitnego literaturoznawcy. Daje się pomyśleć — i jest realizowana — również naukowa „narracja sceniczna”, by użyć terminu Percy Lubbocka: prowadzona z perspektywy bliższej skłóconych intencji danego czasu. By poprzestać na przykładzie wszystkim znajomym, powołajmy *Koncepcję języka poetyckiego Awangardy Krakowskiej* ze stosowanym tam procederem „mowy pozornie zależnej”.

W artykułach teoretycznych Sławińskiego zdecydowanie jednak przeważa narracja olimpijska. Ona też dyktuje historiozofię autora. Niebotyczne zawieszenie perspektyw opisu implikuje przeświadczenie, iż podmiotem historii (literatury) jest największa dająca się wskazać zbiorowość. A nie tworzące ją, skłócone pod-zbiorowości, pod-grupy. A zwłaszcza nie jednostki (piszące).

Redukcję do największej zbiorowości osiąga autor przechodząc do porządku nad różnicą pomiędzy ludzkim „tak” i „nie”. Motyw ten przewija się w tekstach Sławińskiego wielokrotnie, najdobitniej w związku z pojęciem „tradycji kluczowej”. Historia nie schodzi poniżej systemu. Czy mówisz „tak”, czy „nie” wyjdzie na jedno, albowiem historia rozgrywa swe karty na poziomie — jedno ze słów-kluczy tej koncepcji — na tyle zbiorowym, na tyle ogólnym, że traci wagę różnica między „tak” a „nie”, staje się zaś ważne samo przeciwstawienie jako takie, sam repertuar wyboru. Nawet twórczość, bo mimo wszystko jest możliwa, nie polega na rozwijaniu, utrwalaniu bądź odnajdywaniu *jednej* odpowiedzi, lecz na proponowaniu nowej ich gamy, nowej serii ich wyboru. Minimum zmiany jest minimalną porcją systemu. Nie wypowiedzi.

W konsekwencji neutralizacji ulega problematyka wartości. Zostaje sprowadzona do jednego z przejawów życia systemu. Znika wartość jako podmiotowe „tak” (bądź „nie”, ale dla innego podmiotu lub w innej sprawie), jako motywacja wyboru spośród systemowych możliwości. Bardzo korzystna, skądinąd upragniona dla metodologicznej czystości neutralizacja wartości pociąga za sobą wyłączenie problematyki światopoglądu, jego społecznej i literackiej ekspresji. Charakterystyczne, że świadomość społeczna w jej ideologicznym, pozaliterackim wymiarze pojawia się w pracach autora jedynie jako jeden z członów enumeracji „języków”, jakimi „żywi się” literatura.

Zresztą... Doprawdy, czy światopoglądowe kontrowersje są tak ważne, skoro *wolne* są całe epoki, poszczególne stadia w pochodzie synchronii — lecz nie żaden z ich aktorów?

Zwątpienie to prowadzi nas do stwierdzenia, że abstrahowanie od różnicy między ludzkim „tak” i „nie” ma też konsekwencje dla ujęcia historii. Staje się ona szeregiem o problematycznej linearności.

Nowa epoka (w literaturze) pojawia się nie w następstwie wyboru określonych gałęzi rozwiniętych — „rozwidlonych” — przez epokę poprzednią, jak zdaje się przyjmować np. Jurij Tynianow, lecz sama zasada swoje nowe drzewo. Klasyczne już dziś refleksje Sławińskiego wokół tradycji literackiej prowadzą do ujęcia dziejów (literatury) jako następstwa coraz to nowych strukturalizacji przeszłości. Ciągłość zawdzięcza historia jedynie temu, że są to stale *strukturalizacje* (choć coraz inne) i stale *przeszłości*. Istnieje jednak dla autora pewna dziedzina o ciągłości nie-problematycznej: dziedzina tradycji badawczej. Tu nie podważa się ciągłości, nie powściąga nawet jej progresywnych ambicji.

Uwagi powyższe miały pokazać, jak literaturoznawcze rozstrzygnięcia Sławińskiego punktują — na zasadzie *pars pro toto* — bardziej generalne, filozoficzne stanowisko wobec rzeczywistości humanistycznej. Chodziło o wykazanie utopijności konceptualnej specjalizacji polonistycznej. Więc może dałby się wypełnić chociaż ideał specjalizacji *stricte* językowej, stylistycznej? Rozpatrzenie swoistości stylu najbardziej dziś wyspecjalizowanego teoretyka dyscypliny każe i na to pytanie odpowiedzieć przecząco.

Autor *Dzieła — języka — tradycji* daleki jest od niszczącej Pasji Formalizacji Języka. Jest stylistą zawołanym; wszystkie jego teksty naukowe są zarazem pełnosprawnymi artystycznie esejami. Metafora jest dla niego gościem mile widzianym. Jest też zawsze metaforą kncceptualizującą, nigdy — wyłącznie dekoracyjną. Metafora jest tu pomocą, nie ucieczką intelektu.

Stanowczo nie docenia się wagi tropów stylistycznych dla charakterystyki języków badawczych humanistyki. Obowiązujące normy czytania prac tego typu nakazują dokonywać pospiesznego przekładu wyrażeń metaforycznych na dyskursywne, przechodzić natychmiast od *tekstu* naukowego do unoszącej się w (nad? przed?) nim intencji myślowej, krótko mówiąc — do myśli autora, których tekst ma być tylko maksymalnie przezroczystym zapisem. Tymczasem dyskursywność nie zawsze, jeśli nie wręcz rzadko, bywa najważniejszym stanem skupienia humanistycznej teorii (w praktyce łatwiej toleruje się metafory, zwłaszcza że nie można ich uniknąć). Przymuszając humanistyczny tekst naukowy do dyskursywności nie zawsze oddajemy mu sprawiedliwość.

Jeśli postarać się o lekturę „naiwną” prac Sławińskiego, nie naga-bującą o dyskursywne ekwiwalenty metafor, okazuje się, że i tutaj jedynie niewielki procent terminologii odnosi się rygorystycznie do szeregu literackiego w jego nieredukowalnej specyfice. Niemal wszystko, co ważne w tych tekstach, co zabudowuje uniwersum przedmiotowe w wypracowany przez autora sposób — nie mówi wcale o literaturze! O czym więc? Najczęściej o „terenie”, „obszarze”, „sferze”, o agresji terytorialnej. Nie ma tu miejsca na szczegółową analizę i dokumentację, powiedzmy więc od razu: określenia meta-

foryczne konceptualizujące literackie uniwersum układają się w nawracający, wielokrotny opis pewnej przestrzeni o stałych cechach. Jest to przestrzeń geofizyczna; przestrzeń, która człowiekowi oferuje rolę obserwatora. Z tym, że jest to rola aktywna, nie bierna. Obserwator jest kimś, kto zbiera plony z „pól” (domyślnie: pól przez siebie zasianych); język badawczy „żywi się” problemami (metafora o Peiperowskiej proveniencji).

Lecz jest to przestrzeń niezamieszkała. Jediną enklawą dla ludzi w roli wykonawców czynności, a nie obserwatora, jest metafora batalistyczna, rozwinięta ze względu na Tynianowską koncepcję dzieła jako walki sprzecznych czynników organizujących. Ścisłej, swoiste dla Sławińskiego jest inne, pozaantropologiczne ujęcie tej walki: ujęcie jej jako walki sił natury.

Przeźródleń opisująca przez metaforykę tych prac jest zamknięta, obwiedziona jedną granicą. Tereny, które rozdziela granica, wzajemnie na siebie napierają, „ograniczają się”. Rodzaj owego „ograniczania” definiują dwa modele przestrzenne: akcydentalne wyobrażenie rzeki (brzeg określa granice nurtu i odwrotnie), a w postaci trwałej tendencji stylistycznej — metaforyka „wąskiego gardła”. Obszar zewnętrzny „przeciska się” do wewnątrz, później zaś — ponieważ gardło jest wąskie — nie ma już powrotu. Zmienia się w obszar wewnętrzny. Trudno przecenić konceptualną wagę metaforyki „sita”, „wąskiego gardła” itd. Pojawia się ona zawsze przy opisie relacji wiążących to, co specyficznie literackie, z zewnętrznym kontekstem społecznym. Tak np. wszystko, co społeczne, a nie literackie, by przedostać się do utworu, musi „przecisnąć się” przez „wąskie gardło” tradycji. A potem podlega już wyczerpującemu opisowi w terminach morfologii tekstu. Absorpcji takiej ulega w szczególności świadomość społeczna, wszystkie formy ideologii. Podobna relacja wiąże życie społeczne poprzez kulturę literacką z tradycją; podobna — role społeczne twórcy jako jednostki biograficznej poprzez jego rolę specyficznie literacką z materiałem znaczeniowym utworu.

Trzeba więc sprostować jedno z powyższych ustaleń: metaforyka Sławińskiego, podskórny tekst, jaki powołuje ona w bezpośrednio dostępnych tekstach rozpraw, opisuje przestrzeń nie o jednej lecz o wielu granicach, powtarzających tę samą zasadę zawierania się terytoriów. Ponieważ jest to również przestrzeń aktywna tektonicznie, zmieniająca swe ukształtowanie od synchronii do synchronii, można by zasadę wielości koncentrycznie związanych horyzontów ująć w formułę konstatającą nieodzowność pojęcia poziomicy dla wyobraźni metodologicznej autora (słowo „poziom” cieszy się tu bardzo wysoką frekwencją).

Jak w przestrzeni tej przebiega poznawanie? Jego logiczny, metodologiczny porządek można by sobie wyobrazić jako wdrapywanie się uczonego obserwatora na coraz wyższe wzniesienia (a właściwie należy spodziewać się tam jednej ogromnej góry, w samym środku) —



i ogarnianie umiejętnym okiem coraz rozleglejszych obszarów. A jeśli by chcieć zdać sprawę także z kształtującej aktywności obserwatora, trzeba by przywołać sytuację zbierania plonów. W skojarzeniu z ogarnianiem coraz szerszego terenu przekształciłaby się ona w sytuację postępującej koncentrycznej kolonizacji, oswajania coraz dalszych widnokręgów.

Omawiając „sytuację narracyjną” prac autora *Dziela — języka — tradycji* nie tłumiliśmy zbyt mocno intencji polemicznej. Konkurencyjne (w miarę sił...) ujęcie przestrzennego modelu wyjaśniającego przyjmowałoby w miejsce koncentryczności wydzielanych terenów układ wielopoziomowej, wertykalnie komplikowanej mozaiki. Między rozgraniczonymi działkami zachodziłyby relacje wymiany, nie absorpcji. Poznawanie byłoby nie tyle alpinistyką, ile turystyką i nie tyle kolonizacją, ile miłością podróży.

Nietrudno zgadnąć, że rezygnacja z koncentryczności modelu przestrzennego byłaby równoznaczna z rezygnacją z wewnątrz literackiego monizmu. Okazałoby się może, iż w języku egzystuje nie tylko „dzieło”, literatura, lecz i ulotki, podania i wszystkie inne użytkowe śmieci; że wobec tego poza różnicowaniami rodzaju „lingwistyczności” (innymi jednak niż nadmiar i niedostatek organizacji) rozmaitych tekstów kultury istotne są może również — na innym poziomie, w innym „przekroju mozaiki” — różnicowania „supralingwistyczne”. Okazałoby się może, iż światopogląd nie rozpuszcza się w morfologii tekstu, a tylko otrzymuje w niej nowe wcielenie, nową ekspresję — i daje się w oparciu o morfologię rekonstruować. Okazałoby się może, iż epoka, iż synchronia musi jednak liczyć się z wolnością swych aktorów, z ich ludzkim „tak” i „nie”.

Marian Płachecki

### Późny, ale nie spóźniony przekład

Georges Blin: *Stendhal i problemy powieści*. Przełożyła Zofia Jaremko-Pytowska. Warszawa 1972 PIW, ss. 451.

Ukazująca się w Polsce z kilkunastoletnim opóźnieniem książka Georges Blina o Stendhalu (pierwsze wydanie w 1954 r.) odbierana jest przez nas, siłą rzeczy, z perspektywy później nawet powstałych, ale wcześniej przyswojonych polskiemu czytelnikowi prac dotyczących poetyki klasycznej powieści realistycznej. Rozpowszechniony w naszej świadomości teoretycznoliterackiej model tej powieści odznacza się zdecydowaną opozycyjnością wobec późniejszych typów narracji powieściowej (np. przeciwstawienie